



BEATA WAWRYNIUK

MOTYL NA SZPILCE



BEATA WAWRYNIUK

MOTYL NA SZPILCE



NOWY ŚWIAT

* * *

Zawiadomienie o ślubie otrzymałam na trzy tygodnie przed wyznaczoną datą. To, że nie padłam bez czucia na kamienną posadzkę kawiarni, w której wręczono mi białą kopertę, prawdopodobnie zawdzięczam opiece opatrzości. Siedziałam nie wierząc własnym oczom, a w głowie tłukła mi się jedna myśl: „Jak to?!”.

Wychyliłam, jeden po drugim, dwa kieliszki wiśniowego likieru. Próbowalam zebrać myśli i znaleźć odpowiedź na wyczekujące spojrzenie przyjaciółki, która z pewnością spodziewała się wybuchu euforii. Z koślawym uśmiechem wydusiłam: „Jak miło”. Po chwili ulotniłam się, tłumacząc niemożliwą do odwołania wizytą u ortopedy (eee... niespodziewany nawrót płaskostopia!).

Jak to?! Co? Pobierają się? Dlaczego? Nieee!!!

Wracałam do domu zupełnie zdruzgotana. Po drodze wstąpiłam na kufel piwa do otwartego jeszcze pubu. Było już późno i ostatnia para szykowała się do wyjścia. Poprosiłam barmana o zimne pół litra i zasiadłam przy barze. Wysoki młodzik z wąsikami łypnął na mnie sennym okiem i spojrzał pytająco na grubego faceta, który wynurzył się zza kontuaru.

– Należ pani – przyzwolił facet, najwyraźniej właściciel, i wyciągnął papierosy.

– Co? Kłopoty z mężczyzną? – zapytał uprzejmie, rozsiadając się obok i przysuwając paczkę Marlboro.

Twierdząco kiwnęłam głową i cichutko westchnęłam. Pomyślałam, że najchętniej wtuliłabym czerwony nos w jego tłuste ramię i rozpląkała się jak mała skrzywdzona dziewczynka. Bo że zostałam skrzywdzona, nie ulegało wątpliwości. Szef znowu odmówił mi podwyżki, w domu nikt nie czekał z kolacją, a kolejna przyjaciółka właśnie oznajmiła, że wychodzi za mąż. Na szczęście facet nie wnikał w szczegóły. Byłoby wielce kłopotliwe przyznać, że mój problem z mężczyzną, to jego brak.

Moim jedynym oparciem jest kot. Wierzę w jego przywiązanie, mimo że sąsiadka z dołu uznaje zwierzęta za bezmyślne automaty i za każdym razem, kiedy spotykamy się na klatce, gorąco przekonuje mnie do swego zdania. Twierdzi, że traktowanie zwierząt jak istot równych sobie, z uczuciowym zaangażowaniem i poświęceniem, wprowadza zaburzenia w życiu społecznym i jest moralnie niebezpieczne. Kot najwyraźniej odczuwa jej niechęć i nieco się stresuje, bo rzeczywiście w jej obecności zachowuje się jak maszyna. Tępo gapi się w ścianę, a na głupie „psik” podwija ogon i czmycha między nogami jak ostatnia sierota. Tłumaczę babie, że w domu wykazuje znacznie wyższy poziom inteligencji, że reaguje na swoje imię i razem ze mną ogląda telewizję, ale ta śmieje się pod nosem i powtarza swoje. Mimo wszystko jego łaszenie się odczytuję jako wyraz głębokich uczuć. Może zwierzęta nie myślą, ale na pewno czują, kurka wodna!

Jednak tym razem straciłam nadzieję, że Filkowi uda się ukoić moją samotność. Ostatnimi czasy rzadko go widuję, często wychodzi z domu i wraca późną nocą. Nie rozumiałam, co mają znaczyć te nocne wypady, dopóki nie przyłapałam go na schadzce z rudowłosą pięknoscią. Wprawdzie owej piękności brakowało połowy sierści i gapiła się na Filka z pozycji wielbłądziej, wyglądając jak kłębek kolczastego drutu, zdawałam sobie jednak sprawę, że dla niego, kierującego się kocią logiką i specyficznym poczuciem estetyki, może stanowić apetyczny kąsek.

Cieszę się, że dobrze mu się wiedzie, ale...

Dlaczego ja jedna spędzam wieczory przed telewizorem?! Wzdrygałam się na myśl o pustym mieszkaniu pełnym kaset wideo (filmy o miłości).

Dlaczego wszystkim się układa, wszyscy kogoś mają, pobierają się i rodzą dzieci? Dlaczego los mi oszczędza męskich skarpetek i mokrych pieluch?

Postanowiłam wyjść za mąż.

* * *

Od słów do czynów niedaleka droga, jak mawiała moja babcia (à propos, wyszła za mąż w szesnastej wiośnie), tak więc już następnego wieczora udałam się do agencji matrymonialnej znajdującej się tuż za rogiem. Sympatyczna tłusta pani o falującym biuście i blond lokach zaprosiła mnie do małego pokoiku, podała kubek z herbatą i posadziła przed ekranem telewizora. W rękę włożyła pilot od wideo i nacisnęła start.

Zostałam sama. Wcisnęłam się głęboko w fotel i siorbiąc gorącą herbatę patrzyłam w ekran, w połowie wypełniony olbrzymią sofą obitą imitacją skóry węża. Na sofie pojawiali się kolejni panowie, reprezentanci różnego typu urody i sposobu bycia. Wysocy i niscy, blondyni i bruneci, łysi, z przedziałkiem i bez, grubi i chudzi, sympatyczni lub odpychający, ale wszyscy, bez wyjątku, wpatrujący się w oko kamery z taką intensywnością, że zrobiło mi się nieswojo. Obserwując pojawiających się mężczyzn, z napięciem czekałam na wymarzony obraz...

...delikatnym drżeniem rozbrzmia flet i skrzypce i zjawi się On, ocean mądrości i wyżyna ducha. Szepnie płomiennie, wyciągając dłoń: „Chodź, moja miła, chodź, na ciebie czekam, ciebie szukam, chodź...”

...plum, plum (skrzypce) plam, plam (flet) plum, plum... plam, plam... plum, plum... plam...

– Lubię dziewczyny bez kompleksów, facet jak ja potrzebuje odpowiedniej partnerki. Żyję szybko i dziewczyna musi być taka sama, ostra i pewna siebie. No i musi lubić się bawić. Mam nadzieję, że u pani Helenki znajdę moją lady – wypomadowany koleś puścił oko. – Do tej pory spotykałem

tylko różowe króliczki, wprowadzie słodkie, ale... sorry... nudne i straszne bekisy. To nie to. Szukam wysokiej brunetki, najlepiej... yhm... – wykonał ruch na wysokości torsu i zaśmiał się z przekąsem: – Co się będę patyczkował, powiem wprost: mam forszę, nie będzie ci ze mną źle...

Spojrzał poza obiektyw i ściągnął brwi.

– ... aha, mój numer to dwadzieścia trzy dziesięć. No to pa, żabo, odezwił się.

Przystojniaczek podniósł się z gracją, błysnął białymi zębami i znikł z pola widzenia.

Przez kilka sekund ekran pokazywał pustą sofę, zaraz jednak nastąpiło krótkie cięcie i już po chwili siedział na niej niewysoki, bardzo szczupły okularnik z opadającą na czoło przydługą grzywką.

– Ja... uprawiam tai chi i ten... lubię japońskie komiksy... yyy... co by tu jeszcze... – drżącą ręką poprawił okulary. – ... Chciałbym... eee... jadę nad morze i... i ten... jadę nad morze... – ruchem głowy odrzucił do tyłu opadające na oczy włosy. Spojrzał w głąb pomieszczenia. – Co...?

Usłyszałam czyjś stłumiony szept. Nerwus słuchał, poprawiając krawat i kiwając głową.

– ... ten... chciałbym na molo zostać z tobą solo! – wypalił niepewnie.

Jakając się dodał jeszcze kilka rymów.

– Numer dwadzieścia trzy jedenaście – powiedział bez przekonania, podniósł się zrezygnowany i wyszedł.

Po ekranie przesuwali się kolejni panowie, prezentując cały wachlarz niewerbalnych motywów, zdaje się z jakiegoś tańca godowego. Raczyli mnie nim wszyscy bez wyjątku: mówili półgłosem albo szepta-
li, głaskali się po brodzie, po brzuchu, po udach, rozluźniali krawaty, zakładali ręce na kark i odchylali się zrelaksowani albo dla odmiany przysuwali się na brzeg siedzenia i znacząco patrzyli mi w oczy. Zerkali spod przymrużonych powiek, jak twardzi faceci z reklam papierosów, pokazywali muskuły i zapewniali o iskrzącej namiętności. Po godzinnym seansie, zmęczona i zniechęcona, włączyłam pauzę

i dopiłam zimną herbatę. Czułam wyraźnie, że w tej jaskini miłości nie trafi mnie grot Amora.

Podróż po męskim świecie zalotnych wąsików, bicepsów i fantazji seksualnych nie przyniosła mi upragnionego celu, za to nieoczekiwanie uspokoiła i wprawiła w całkiem dobry nastrój. Jestem sama, bo posiadanie faceta, który męskość skoncentrował w kwadratowej szczęce, to gra niewarta świeczki. Wysłałam, na nowo przekonana o słuszności przejścia przez życie w pojedynkę.

Na wszelki wypadek, gdyby jednak trafił się cudem zachowany egzemplarz Prawdziwego Mężczyzny, zostawiłam swoje zdjęcie i numer telefonu z hasłem: „Tylko poważne propozycje”. Pisząc krótką i konkretną ofertę, wiedziałam, że muszę sprawę stawiać jasno. Żadne „szaleństwo ciał przy szumie fal”, jak chciał chudy liliput w okularach, nie wchodziło w grę. Ja szukam głębi. I miłości.

Kupiłam w delikatesach pudełko lodów owocowych i mleko dla Filcia i wesoło ruszyłam do domu.

– Aaaaaa!!!

Taki dźwięk wydałam z siebie, gdy przekroczyłam próg mieszkania. Rzuciłam lody i mleko i runęłam na podłogę. W drzwiach prowadzących do kuchni leżał Filek. Nie byłoby w tym nic dziwnego i uznałabym, że śpi, gdyby nie leżał w niezwyklej dla niego pozycji: na grzbiecie, z przekręconą na bok główką i rozrzuconymi kończynami. Mam duże doświadczenie w obcowaniu z kotami i nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Filcio dyszał.

„Otruty” – pomyślałam.

Nie zastanawiając się, kto i dlaczego targnął się na życie kota (sąsiadka?), złapałam go na ręce i wybiegłam z domu. Pędząc w dół, myślałam tylko o jednym: ratować Filka przed niechybną śmiercią. Jednak w okolicach parteru uświadomiłam sobie, że biegnę zupełnie bez celu, byle niżej, jak gdyby niżej znaczyło zdrowiej. Zatrzymałam się. Z bijącym sercem próbowałam zebrać myśli. Książka telefoniczna! Weterynarz!

Powoli wracałam do równowagi. Nie chcąc targać kota z powrotem na górę, wybiegłam przed blok i ułożyłam miękkie ciało na trawniku. Pędem ruszyłam do domu. Kiedy dotarłam do mieszkania, okazało się, że musiałam doznać niezłego wstrząsu, bo drzwi wejściowe stały otworem. Chwyciłam książkę. Przerzucając strony i jadąc palcem po kartkach, szukałam hasła „lecznice”. I wtedy mnie zmroziło – mój palec zwolnił i wreszcie zatrzymał się, gdy dotarło do mnie, co robiłam. Zupełnie zapomniałam, że przez nasze podwórko kilka razy dziennie przetacza się sfera bezdomnych psów. Gapiąc się tępo na numer Centrum Chirurgii Plastycznej, ujrzałam scenę, której byłam bezsprzeczną autorką. Kłębowisko ciał, jazgot i fruujące pirze. Filuś!!!

Przerażona, nie mogąc uwierzyć we własną bezmyślność, puściłam się w dół. Wypadłam z klatki i stanęłam w drzwiach, opierając się o futrynę, charcząc i dysząc jak topielec cudem uratowany z odmetów. Filka na trawniku nie było. Spodziewając się, że za chwilę ujrzę krwawy kotlet, jaki pozostał po moim kocie, chwiejnym krokiem ruszyłam przed siebie. Jakież było moje zdziwienie i radość, gdy okazało się, że Filuś, cały i zdrowy, siedzi na ławce i z napięciem w oczach obserwuje skaczące po chodniku wróble. Chciałam go chwycić w ramiona i uścisnąć z radości, ale Filek najwyraźniej nie podzielał mego entuzjazmu. Spojrzał na mnie błędnym okiem, zeskoczył z ławki i z wyprężonym ogonem ruszył przed siebie.

– Filuś, Filutek, chodź do mamusi! – zawołałam wzruszona.

Filek znikł za drzewem.

– Filuniu, kotku, co ty? – jęknęłam, dźgnięta prosto w serce.

Żadnej reakcji. Zdębiałam. W jednej chwili bezbrzeżną tkliwość wyparła nagła wściekłość. Takie lekceważenie ludzkich uczuć, nerwów i poświęcenia?! Co to ma być?!

– Filek!!! – ryknęłam – Do domu!

Nic.

Usiadłam na krawężniku i rozpłakałam się fontanną łez.